Niniejszy numer zawiera bezpłatny dodatek „Na Wyżyny".

Poczta opłacona z góry. Cena 25 groszy.

GŁOS EWANGELICKI

PISMO TYGODNIOWE POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIOŁA EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO W POLSCE.

Organ szerszych warstw ewangelików polskich, przy udziale ks. ks. profesorów: *Ed. Burschego, A. Suessa, ks. seniora Gloeha* — z Warszawy, *ks. W. Galstera* ze Starej Iwiczny, *ks. J. Winklera* z Pilicy, *ks. kapelana A. H. Figaszewskiego* z Brześcia n Bugiem, *prof. gimnazjum im. M. Reja, Dra O. Bartla, prof. gimn. zgierskiego A. Wajgelta.*

Cena prenumeraty:	Adres Redakcji i Administracji:	Wychodzi raz na tydzień w niedzielę
wraz z przesyłką pocztową: 3 zł kwartalnie.	WARSZAWA, ks. senior F. GLOEH, ul. Puławska Nr. 4.	Ogłoszenia:
Pojedynczy numer 25 groszy.	Prócz administracji prenumeratę przyjmuje: w Warszawie, księgarnia W. Mietke, Wspólna 10. Księgarnia G. Szylinga, Szpitalna 10. w Łodzi, księgarnia Rennera Piotrkowska 65.	Kolumna zawiera 4 szpalty ogłoszeń. Za wiersz nonparelowy po tekście 20 groszy w tekście 40 groszy.

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 1508.

Rok XVII. WARSZAWA, dnia 27 grudnia 1936 r. **Nr. 52.**

WSZYSTKIM SZANOWNYM I MIŁYM CZYTELNIKOM I CZYTELNICZKOM BŁOGOSŁAWIONYCH I RADOSNYCH ŚWIĄT NARODZENIA PAŃSKIEGO

ŻYCZY

REDAKCJA „GŁOSU EWANGELICKIEGO".

Ks. Stefan Stegman, Łowicz.

Wszyscy do Betleem

Łuk. 2. 15.

„Witaj Panie, któż jest w stanie, za to godnie wdzięcznym być,
Że zstąpiłeś i przybyłeś, by wśród grzesznych ludzi żyć.
Miłość Twoja to sprawiła,
Miłość Twoja uczyniła,
Że Bóg dla nas Ojcem jest"

Wieczór Wigilijny — Narodzenie Pańskie! Tradycyjny opłatek i choinka! Oto poszczególne przepiękne momenty, które zdawałoby się same przez się wytwarzają ten właściwy nastrój świąteczny. A jednak, a jednak... przecież co rok obchodzimy te Święta, przecież co rok składamy sobie życzenia, co rok zbieramy się w świątyniach, zasłuchani w uroczysty dźwięk dzwonów i kolęd naszych, a co najważniejsze — słuchamy Słowa Bożego o Dzieciątku Jezus. — I mijają lata, całe lata i życia ludzkie, a ludzkość jest wciąż jeszcze tak daleko od żłobka betleemskiego i od realizowania w swem życiu tych prawd i ideałów, które noszą nazwę Chrystusowych. Dlaczego? Zapewne, że jedną z przyczyn zrozumiałych jest słabość i grzeszność natury ludzkiej, moc i potęga złych instynktów, brak silnej woli i wytrwałości, a zatem i owej zdecydowanej postawy w życiu.

Ale z drugiej strony—przyczyną naszej obojętności lub połowiczności w sprawach wiary i moralności jest najczęściej może owa powierzchowność w ujmowaniu i obchodzeniu tak uroczystych, wielkich, świętych dni pamiątkowych, jak Narodzenie Pańskie.

Jakże możemy stać się lepszymi, odnowić się na duchu, zbliżyć się do Boga, okrzepnąć w wierze, nieść miłość i radość, ukochać prawdę, sprawiedliwość, czystość, jeżeli nie stanęliśmy może jeszcze ani razu u źródła tych wszystkich wartości i cnót, u żłobka w Betleem? Jeżeli nie zastanowiliśmy się może naprawdę jeszcze nigdy nad tem, jak wyglądałby ten świat i to życie na nim bez tego Dzieciątka Najświętszego, które stało się Wodzem najwyższej prawdy?

I znowu zabłyśnie owa gwiazda, i znowu spłynie ów blask z góry, i znowu te święta zwiastują wszystkim, wszystkim bez różnicy: i bogatym i biednym, wesołym i smutnym, zdrowym i chorym, młodym i starym: „Iż się wam dziś narodził Zbawiciel, którym jest Chrystus Pan, w mieście Dawidowym". Promienie tej gwiazdy jak zwykle będą się odbijać w kryształowej postaci Wodza naszego — Syna Bożego.

Ale czy pójdziemy naprawdę, prowadzeni tym blaskiem, do Betleem? Jeżeli pójdziemy, to myśl nasza będzie gonić wszystkie słowa i wszystkie czyny Jego, a pójście nasze do Betleem będzie pójściem do Boga, będzie spotkaniem, będzie początkiem prawdziwego zbawienia naszego.

Ileż błogosławieństwa i ukojenia, ile szczęśliwości prawdziwej przyniesie sobie ten, kto z pasterzami podążył do Betleem, w czyjej duszy znowu odżyło to wszystko, co się wiąże delikatną złotą i srebrną przędzą wieczoru wigilijnego z Dzieciątkiem Jezus, z Marją

Matką Chrystusa, z Józefem, z pasterzami, z mędrcami — królami i chórem dobrych duchów na nutę: „Chwała Bogu na Wysokościach i na ziemi pokój, a w ludziach upodobanie".

„I odpuść nam nasze winy" zaczną szeptać nasze usta w tę świętą noc Bożego Narodzenia...

Cicha noc, święta noc,
Narodzony Boży Syn,
Pan wielkiego majestatu
Niesie dziś całemu światu
Odkupienie win. Amen.

Ks. St. Stegman.

Po ustawie kościoła

3. „Jetzt erst recht in der Kirche und evangelisch bleiben".

Zgromadzeni w Łodzi w dniu 2 grudnia br. niemieccy księża pastorowie wydali wskutek ogłoszenia ustawy odezwę do niemieckich parafian, zatytułowaną: „Jetzt erst recht in der Kirche und deutsch bleiben!" (Teraz właśnie należy pozostać w kościele i pozostać Niemcami!) Odezwa ta jest w stosunku do stanowiska zajmowanego przez pewną część społeczeństwa niemieckiego przed ogłoszeniem ustawy i do wrzawy, jaką z powodu ustawy robiono, niewątpliwie postępem i czynem pozytywnym i dodatnim. Bo podczas gdy przedtem szermowano głośno hasłem wystąpienia z kościoła, teraz pewnie za sprawą ludzi rozważnych, umiarkowanych wezwano wiernych do pozostania w kościele.

Ale niestety odezwa ta stanęła w połowie drogi. Druga część bowiem hasła tej odezwy wnosi do kościoła znowu ten moment polityczny, który jest radykalnym złem naszego kościoła i przyczyną wszystkiego złego.

Minister Rust powiedział w dniu 29 czerwca 1933 do przedstawicieli kościoła ewangelickiego w Niemczech: „Gdyby w kościele ewangelickim był się ukazał jakiś Hittler, nie musielibyśmy teraz walczyć. Nie ukazał się on jednak, a przewódcy tego kościoła nie ustają obecnie w przybieraniu wobec narodu pozy męczenników. Panowie, bądźmy szczerzy! Mieliście okazję do męczeństwa, gdy grupy ateuszy występowały publicznie na ulicach". I nie można słowom jego odmówić słuszności. Kościół nie spełnił swoich obowiązków, dlatego w sprawę wdało się państwo.

I ustawa kościoła naszego nie byłaby taką, jaką jest, gdyby kościół nie był dał do tego powodu. Gdyby kościół był stał na wysokości zadania, gdyby służył tylko sprawie królestwa Bożego, a nie wtrącał się do spraw politycznych, gdyby spełniał jedynie przez Chrystusa Pana powierzoną mu misję głoszenia ewangelii i prowadzenia dusz do Boga, gdyby „szukał pokoju i ścigał go", gdyby stał jedynie na straży wielkiej sprawy Bożej na ziemi, gdyby siły swe wytężył w walce z bezbożnością i w służbie Bogu, krajowi i ludzkości, gdyby był naprawdę miastem na górze leżącym, to państwo nie byłoby miało zastrzeżeń, które znalazły wyraz w ustawie. „Jak dotychczas, zawsze odpowiadało prymitywnej religii prymitywne prawo, brakowi kultury religijnej złe prawo, wysokiej kulturze religijnej dobre, wysoko rozwinięte prawo". (F. Giesse. Recht und Religion als Kräfte zum Wiederaufbau). Tak zawsze bywało, że społeczeństwa i państwa miały takie ustawy, na jakie zasługiwały. Od tej zasady i kościół nie jest wyjęty.

„Wszyscy, którzy miecz biorą, od miecza poginą"— powiedział Chrystus. To słowo i tutaj się spełniło. Polityka, a nie co innego, gubi nasz kościół. Gdybyśmy więc byli stanęli na stanowisku chrześcijańskim, to byśmy byli, zamiast robić wrzawę, uderzyli się w piersi i powiedzieli: zawiniliśmy! I dopóki się to nie stanie, nie będzie lepiej.

Dlatego druga część hasła odezwy księży pastorów powinna brzmieć nie: „und deutsch bleiben", lecz „und evangelisch bleiben" — (pozostać ewangelikami). Wartość, znaczenie, wielkość, świętość jakiejś sprawy nie zależy od spraw i warunków zewnętrznych ani od ustaw, którym sprawa jest poddana, lecz od czystości i wielkości idei, od wewnętrznej mocy i ducha, od żywotności sprawy, od urzeczywistnienia idei, której służy. Podobnie kościół nie zależy od stosunków zewnętrznych ani od ustaw państwowych, lecz od wiary i ducha, który w nim mieszka i rządzi. Chrześcijaństwo stało na najwyższym poziomie i osiągnęło szczyty rozwoju w czasach prześladowania w państwie rzymskim, kiedy żadnych nie miało praw. A kiedy otrzymało równouprawnienie z poganami, zaczęło się wewnętrznie i zewnętrznie chylić ku upadkowi. Nie jest więc prawdą że ustawa może kościół nasz doprowadzić do ruiny. To są miazmaty materialistycznego poglądu na świat.

Jeżeli więc zamiast haseł politycznych powiemy: a teraz chodzi o to, żebyśmy się pokazali ewangelikami, jeżeli w kościele naszym będzie wiara wielka i duch wielki, jeżeli w nim ewangelia Chrystusowa czysto i nieskażenie będzie opowiadana, jeżeli kościół odda Bogu, co Bożego, a cesarzowi, co cesarskiego, to go nic nie zmoże. Ale jeżeli jako cel kościoła i zadanie głosimy: deutsch bleiben! to mu nic nie pomoże. Dlatego należy wszcząć walkę o czystość idei, o ożywienie wiary, o obudzenie kościoła z uśpienia, o uwolnienie kościoła od ciągle koło niego się plątających ziemskich spraw i interesów, o to, aby kościół szukał jedynie królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a wtedy mu wszystko będzie przydane.

Wtedy także kościół nasz uzyska także lepsze prawo, na jakie zasłuży. Chrześcijaństwo pierwszych czasów uzyskało równouprawnienie w państwie rzymskim dzięki mocy Chrystusowej ewangelii i swej żywotności. Bracia Morawczycy i Mennonici uzyskali prawa nawet w arcykatolickiej Austrii i w prawosławnej Rosji dla swej niepospolitej bogobojności. Oto jest droga, którą nam iść należy. Pokażmy, że jesteśmy ewangelikami!

Wtedy też nie będzie rozdarcia, do jakiego niebacznie doprowadzono. Na tym gruncie znajdziemy się wszyscy razem, ramię przy ramieniu, Niemcy i Polacy. Wtedy się o przyszłość kościoła bać nie będzie trzeba.

Ks. Karol Kotula.

„ONI"

Na ulicach, na drogach — „ONI"...
Wiatr świszcze, twarz płonie
parzy rozdarty but...
— Zimno! Niech Pan Bóg broni,
no, ależ chłód!
My do domów, do ciepłych...
ONI?
Znów „oni", ciągle „oni",
bez kieszeni dla rąk,
i bez czapek dla głów.
Czapkę zdjął ten, rękę wyciąga ów,
i słania się, i kląkł
na chłodzie, w prośbie, w ukłonie...
Ten. Tamten. Tamten. I ów.
Oni, oni, oni, oni...
Zmarzli, pędzeni jak psy
w wiecznej za groszem pogoni...
Oni, oni, oni, oni...
— A my?

Tadeusz Hollender

Gustaw Morcinek.

Chleb na dłoni

Musiałem pojechać do tamtej szkoły powszechnej, bo nie chciałem skrzywdzić moich małych wielbicieli. A raczej nie tyle wielbicieli ile wielbicieli moich bajek i owego niesłychanego zdarzenia z kozą Strzygą, o czem szeroko prawi Czytanka na klasę V szkoły powszechnej.

Kozy Strzygi już dawno nie ma, bo poszła na służbę do dalekiej wsi, gdzie ją ludzie zjedli, a skórę wyprawili. Lecz moi mali czytelnicy wciąż wierzą, że koza Strzyga żyje i bodzie każdego, kto się jej nie podoba. Że zaś nie mam serca wyprowadzić ich z tego słodkiego błędu, przeto wszystko, co się działo ze Strzygą w czasie przeszłym, opowiadam w czasie teraźniejszym. A raczej nie opowiadam, tylko piszę w listach. Listów zaś przychodzi zatrzęsienie.

Stary listonosz z czerwonym nosem sapie, trzyma wypchaną torbę na brzuchu i grzebie w niej paluchami.

— Jutro przywiozę już te listy na wózku, bo torba pęka! — mówi niezmiennie każdym razem.

— Przynajmniej poczta nie zbankrutuje! — dodaje nazajutrz i pociąga zziębniętym, czerwonym nosem.

Najczęściej przychodziły listy z tamtej szkoły, która znajduje się w pewnej wsi przy linii kolejowej Radom-Kielce. Nie napiszę, gdzie ta szkoła, bo prosił mały jej kudłaty ludek, żeby ich nie zdradzać.

— Hm, pan napisze o nas, a potem wszyscy powiedzą, że się chwalimy!... — tłómaczył mi malec z piątego oddziału o niebieskich oczach i porciętach podartych na pośladkach.

Przyrzekłem więc, że nie napiszę, gdzie się ta szkoła znajduje, lecz napiszę o ich „chlebie na dłoni". Zgodzili się wszyscy. Wiadomo, jeżeli w republice szkolnej uchwala się jednomyślnie jakiś wniosek, lub jeżeli wyrażają wszyscy zgodny projekt, czynią to z wielkim wrzaskiem. Dziewczyny piszczą jak stado ogromnych niebieskookich i szarookich myszy, a chłopczyska wydzierają się przeraźliwie i klaskają.

Wtedy nie wypada nic innego uczynić, jak również drzeć się w niebogłosy i klaskać, żeby każdy wiedział i widział, że ja również umiem się radować. Jeżeli bym tego nie czynił, snadno posądzą mnie o ból żołądka lub o czarny charakter i skryte, niedobre myśli. Trzeba więc również wrzeszczeć, co wypada dosyć osobliwie, gdy patrzeć z ubocza na tego rodzaju „radosne piekło". Że nie fikam wtedy nogami i nie chodzę na rękach koło katedry czy między ławkami, to tylko dlatego, żeby mi się szelki nie oberwały. Tak przynajmniej trzeba wytłumaczyć tę swoją powściągliwość małym republikanom i republikankom szkolnym.

Przyjechałem więc do tamtej zakonspirowanej szkoły i akurat trafiłem, kiedy w klasie V była gramatyka. Stąd też radość z mojego przybycia była w dwójnasób większa. A może w trójnasób. Nie wiem na pewno. Wiem tylko tyle, że powstała ogromna zawierucha w klasie, a pani rumieniła się i bezskutecznie uciszała swoją rozkrzyczaną bandę szkolną.

— Cicho dzieci!... Co pan pomyśli (niby ja) o was? tłómaczyła bezradnie. Nic złego nie pomyślałem. Tak powinno być i skończone. Inaczej radość byłaby płonna, jakaś, mizerna, anemicz na.

A kiedy się uciszyło, rozpoczęła się ta niesłychana historia o kozie Strzydze. Boże, com tego nazmyślał!... Dzieci słuchały ani nie mrugały, a cisza była taka, że aż z poza ściany było słychać, jak tam jakaś Marysia czy Hanka duka mozolnie nad książką, a ja zaś opowiadałem. Myślałem, kombinowałem, dodawałem, fantazjowałem, stwarzałem na poczekaniu niebywałe zdarzenia, a mówiłem to z taką pewnością, że w końcu sam uwierzyłem, iż to wszystko prawda o tej kozie Strzydze. Nawet musiałem ją na tablicy wyrysować, co mi się udało wyśmienicie. Wprawdzie Strzyga była jakaś garbata i koślawa, a pysk miała podobny do małpiej gęby, ogon zaś przemienił się w jakąś nastraszoną wiechę, lecz, że pod tym cudacznym kozim portretem napisałem kredą: — „To jest koza Strzyga" — więc było wszystko w porządku, co znów przyjęto wielkim wrzaskiem.

Potem była jeszcze bajka. Jedna i druga, i trzecia. Wciąż było ich mało.

— Jeszcze!... Jeszcze!... — wołał mój ludek łakomy takich rzeczy.

A więc jeszcze. I o tym diable z obciętym ogonem, a któremu taką krzywdę uczynił krawiec Igiełka, i o tym królu w złotej koronie, który jadał kapustę ze skwarkami, i o tej biednej sierotce, co była zawsze głodna i płakała bardzo, że się aż serce krajało.

Bajki kończyły się na owej biednej sierotce, a rzeczywistość zaczęła się od owej głodnej sierotki. Stało się to nieoczekiwanie, oto po prostu dzwonek zadzwonił, że już nastąpiła przerwa; tak, bajki są bardzo miłe, lecz przerwa bywa jeszcze milsza, bo właśnie śnieg pada za oknem.

— Czy nam pan nie ucieknie? — martwi się jakaś Zośka z krótkim warkoczykiem.

— Nie ucieknę! — zapewniłem wszystkich.

— To proszę sobie usiąść i czekać aż skończymy, — rzekła jeszcze i poprowadziła mnie do krzesła za katedrą — bo my teraz będziemy mieli „chleb na dłoni".

Nie wiedziałem, co to takiego, ów „chleb na dłoni". Lecz zaraz się przekonałem, oto t-arz ja miałem patrzeć na urzeczywistnioną bajkę o biednej sierotce. Wszystko to działo się w sposób prosty ogromnie, niewymuszony. Te dzieci, co miały chleb, dzieliły się z tymi dziećmi co chleba nie miały. Jedne wyjmowały z pod ławy kromki ciemnego chleba, kładły je na wyciągniętej dłoni i podchodziły do tych, co tylko ślinkę łykały.

— Weź sobie połowę! — mówiły i wtedy następowało łamanie kromki na połowę. Mnie pół, tobie pół. Jak w bajce.

Pani nauczycielka tymczasem mówiła mi półgłosem o wszystkim. Rzuciła myśl, żeby dzieci wspierały jedne drugich. Wieś jest uboga, więcej w niej biedoty, aniżeli zamożnych. Połowa dzieci karmi się tylko ziemniakami i kapustą. To jej całe jedzenie.

Chleb dla niej jest rzadkością. Podsunęła więc myśl na specjalnej pogadance o akcji pomocy zimowej dla głodujących, i dzieci same zastanowiły się, jakby tu przyjść z pomocą głodnym kolegom i koleżankom. Uchwaliły bez jej współudziału, że będą się wszyscy dzielić chlebem, i dzielą się. Czynią to z dziwnym jakimś ceremoniałem. To także ich pomysł. Kładą chleb na wyciągniętej dłoni, podchodzą z powagą do swego kolegi, czy koleżanki, o których wiedzą, że w ich domach nędza i głód — i mówią:

— Weź sobie połowę!...

Gdy mi już wypadało odejść, skierowałem rozmowę na ów „chleb na dłoni".

No, mój Boże! — rzekła mi wtedy dziewczynka z krótkim warkoczykiem, a która była prezeską samorządu szkolnego. — Jeżeli nasze koleżanki są głodne albo nasi koledzy, to im trzeba dać kawałek chleba. Nam nie ubędzie, a one nie będą głodne. No nie?

— A co mówią wasi rodzice?

— Nic. Mówią, że dobrze robimy.

— A wasza pani?

— Nasza pani raduje się bardzo. Bo ona nam mówiła o tych głodnych, których teraz w całej Polsce podczas zimy trzeba wspierać. Nawet nam taki ładny obrazek przyniosła do klasy. Oto jest!!! — i wskazała na afisz (Pomocy Zimowej). Przedstawiał ubogą izdebkę, w niej jakiegoś mężczyznę, grzejącego się przy dogasającym ogniu w piecyku i jakąś kobietę skuloną. W otwartych drzwiach stoi jakiś chłop, trzymający na ręku ubranie i jeszcze różne rzeczy. Widocznie przynosi coś do jedzenia — jak mi wytłómaczyła „mała prezeska". Krzywiła się tylko, że ów chłop otworzył szeroko drzwi, a to nie dobrze, bo w izdebce będzie jeszcze większe zimno.

— Ale to nic — pocieszyła mnie. — Zaraz sobie napalą w piecu i będzie im ciepło.

— A tak istotnie! przyświadczyłem z przekonaniem.

Reszta dzieci otoczyła mnie kołem i słuchała naszej pogwarki.

— A proszę pana, wie pan, co my myślimy?

— A kto?

— No, my wszyscy! — i wskazała szeroko drobną dłonią po zgromadzonych koło nas dzieciach.

— Co myślicie?

— Żeby tak wszyscy w całej Polsce dzielili się z tymi, co nic nie mają, toby było dobrze. No nie?

— A naprawdę! Dobrzeby było!

— A widzi pan? Nie byłoby głodnych, a nikomuby nie ubyło, gdyby się podzielił. Chociaż nie wiele. No nie?

— Słusznie!

Chłopcy cmokali z zadowolenia, a dziewczynki trącały się i zerkały jedna na drugą z zadowoleniem, że ich „prezeska" tak mądrze mówi.

Potem już musiałem odchodzić. Powiedziałem więc owym dzieciom, że to wszystko opiszę. W pierwszej chwili moją propozycję przyjęły znowu z wielkim wrzaskiem, lecz potem „prezeska" zabrała głos.

— Niech pan napisze... prosimy bardzo. Tylko niech pan nie wymienia, gdzie to było, bo każdyby pomyślał, że się chcemy chwalić. No nie? — zwróciła się o aprobatę do całej republiki. To samo powiedział mi chłopiec o niebieskich oczach i podartych porciętach.

Republika przyklasnęła jak zwykle wielkim krzykiem.

Przyrzekłem więc, że nie zdradzę, w której szkole to wszystko widziałem, żeby nikt nie pomyślał, że się pragną chwalić. Lecz napiszę o wszystkim, jak mi poradzono, żeby wszyscy w Polsce wiedzieli, iż nie byłoby głodnych, gdyby każdy pamiętał o biednych. Żeby ci, co mogą, mieli „chleb na dłoni" dla tych, co są głodni.

I napisałem.

Od siebie jeszcze pragnąłbym dodać, że kiedy patrzyłem na „chleb na dłoni" w tamtej wiejskiej szkole między Radomiem a Kielcami, zdawało mi się, że na małych dłoniach nie widzę ciemnego chleba, lecz drobne płonące serca.

Nie czekaj na to, aby w udręce
brat twój ku tobie wyciągał ręce.
Przed nędzy matnią
uchroń go, serca schylając czarę:
daj nie jałmużnę i nie ofiarę —
lecz pomoc bratnią!

Antoni Bogusławski.

Czesław Lechicki — Lwów.

Sprzysiężenie milczenia

Tym, którzy mają dobrą pamięć, nie potrzeba chyba długo i szeroko przypominać, co to się działo akuratnie pięć lat wstecz, po zbiorowym liście otwartym episkopatu rzym.-katol. przeciw projektowi Komisji kodyfikacyjnej w przedmiocie prawa małżeńskiego. Obóz klerykalny, na hasło rzucone przez ten list, zorganizował najgwałtowniejszą nagonkę i zdobył dla swego oporu wyraz najbardziej stanowczy w postaci fali protestów zwłaszcza wiecowych, jaka wtedy zalała prawie cały kraj, rozkołysanej wiatrem demagogii. Rezolucje ciemnych, nieorientujących się w niczem mas merytorycznego znaczenia nigdy nie mają, formalnie jednak zaważą choćby samą mnogością, samą liczbą. I choć po kilku miesiącach fala owa opadła, zainteresowanie przeniosło się na inne tereny, gorączka protestacyjna minęła, — niemniej rzecz samą utrącono o tyle, że projekt powędrował pod zielone sukno i cały galimatias prawno-małżeński pozostał nienaruszony, w myśl ruskiego przysłowia: „Naj bude, jak buwało".

Zapewne, projekt nie był idealny, zbyt mało liczył się z psychologią społeczeństwa naszego, zbyt radykalnie chciał je na pewnym odcinku zeuropeizować, zbyt nowoczesnymi operował kategoriami socjologicznymi. W porównaniu z tem, co panowało dotychczas, reforma stanowiłaby postęp bardzo wielki, skok bądź co bądź na pierwszy raz trochę ryzykowny, by wolno przypuszczać, że się tędy dojdzie odrazu do celu. Naród polski nie dojrzał jeszcze do tak zachodniej reformy. Stan oświecenia umysłów przeciętności nie pozwalał się łudzić, że projekt przyjęty będzie jeśli już nie z entuzjazmem, to bodaj ze spokojnym zrozumieniem, z chłodną, ostrożną rozwagą, z objektywnym rozstrząśnięciem argumentów pro i contra.

Taktyka rodzimej reakcji polegała jak wiadomo na czystej negacji, na forsowaniu żądania odrzucenia projektu a limine, bez dyskusji, przekreśleniu go w całości i w dodatku zohydzenia przez odszukanie jego rzekomej genezy w Talmudzie, ustawodawstwie bolszewickim itp. Nikt na prawicy nie przyznał głośno, że kodyfikacja tego rodzaju jest bez wątpienia konieczna; oznacza ona bowiem pewien postęp już choćby przez to, że normuje jednolite prawo dla całego Państwa i wszystkie stąd wynikłe sprawy sporne oddaje pod kompetencje sądów cywilnych. Przeciwnikom atoli projektu nie chodziło bynajmniej o świeckie zalety, względnie niedociągnięcia jego, lecz wyłącznie o interes kościelny, o stronę religijną ślubu, zapominając, że to jest przede wszystkim i co do istoty umowa obywatelska, nie obrządek. I z tego wypada raz wyciągnąć konsekwencje.

Zamiast wygotować szczegółowe poprawki, formalne i merytoryczne do projektu Komisji kodyfikacyjnej, mistrzowsko zresztą uzasadnionego przez jego autora prof. Lutostańskiego, — zadowolili się katolicy krzykliwą, a bezpłodną opozycją i w rezultacie rzecz niezbędną i pożyteczną, reformę doniosłą i pod pewnymi względami przełomową, zagwoździli. Byle za wszelką cenę nie stanąć na gruncie świeckich założeń projektu, byle nic nie ustąpić ze swego i nie pójść na żadny rozumny kompromis, nie dopuścić częściowej przynajmniej laicyzacji stosunków prawno-małżeńskich.

Ponieważ łatwiej zawsze coś zburzyć, niż zbudować, lub naprawić, więc i tutaj uzyskano wycofanie projektu, wszelako nic na jego miejsce nie dano. Obskuranci klerykalni nie ważyli się nawet przedłożyć czynnikom miarodajnym własnego projektu, opartego wyłącznie na kodeksie prawa kanonicznego rzymskiego. Pojawiły się wprawdzie jakieś broszury z pomysłami prywatnych „reformatorów", ale tych u góry nie bierze się na serio.

Sprawa utknęła na martwym punkcie. Pokryto ją ścisłym milczeniem, jako tak drażliwą, że się o niej nie mówi, tak delikatną, że się jej nie tyka. Wczesną jesienią 1933 r. przebąkiwano coś, że kodyfikacja dotycząca zostanie uregulowana w drodze dekretu, projekt komisyjny będzie poprawiony, śluby cywilne i rozwody dopuści się fakultatywnie. Niebawem jednak okazało się, że to plotki tylko i rzecz znowu przycichła. Ostat-

Armin Stein (H. Nietschman). (64)

Książka o Doktorze Luterze

Przełożył z niemieckiego M. Winkler.

Reichenbach, jak tylko umiał, zachęcał go także do tego gorąco, poczem pożegnał się z nim.

Po odejściu jego zapieczętował Luter list i odłożył do innych, które służący jego Wolfgang Zyberger miał nazajutrz wysłać, poczem powrócił znów do pracy swej, przygotowując się do jutrzejszej prelekcji.

Kiedy tak w najlepsze pracował, nagle przerywając sobie zajęcie, wsparł głowę na ręku, poczem zerwał się niespokojny i nucąc coś pocichu szerokim krokiem począł przechadzać się po celi.

Usiadł wreszcie do stołu i począł pisać. A co pióro jego na papierze kreśliło to była pieśń. Wśród wytężonej pracy duch wieszczy wstąpił w niego i natchnął go do nowego śpiewu:

W niedoli, Boże, krzyczę swej
Ach, usłysz me wołanie!
Swych uszu skłoń do prośby mej
I udziel wysłuchanie!
Bo gdybyś skarał wszystko to,
Co zbroił grzech i każde zło,
Przed tobą któżby ostał?

Taki był początek. Poczem już płynął wiersz za wierszem aż póki pieśń nie była dokończona. Był to 130 psalm, który sobie obrał za motyw. Lecz nie było to jedynie w wierszach ujęte tłomaczenie — Luter wchłonął najpierw psalm ten w siebie, poczem wydobył go znów z siebie w szacie nowej pieśni.

Z dziecinnem uradowaniem przebiegały oczy piszącego po ukończonem dziele i usta głośno odczytywały słowa. I otóż stopniowo czytanie przemieniało się w śpiewanie: na dnie duszy piewcy kształtowała się melodja.

I teraz dopiero, gdy z pieśnią tą się załatwił spokój mu wrócił tak, iż znowu zabrać się mógł do pracy.

Upłynął blisko rok od owego czasu, i Luter stał pewnego dnia w towarzystwie drugiego mężczyzny u stołu swego, zawalonego książkami i broszurami.

„Długo daliście na siebie czekać, kochany Walterze", rzekł Doktór Marcin do swego gościa, kantora Wielkiego Księcia w Torgawie. „Lecz tem większa jest teraz moja radość, że Was mam przy sobie. Przystąpimy zatem bez straty czasu do dzieła, w którem macie mi być pomocnym. Otóż widzicie tu książeczkę zatytułowaną: „Kilka chrześcijańskich pieśni, pochwalnych i psalmów podług nieskażonego Słowa, ułożonych wiernie z Pisma Świętego przez niektórych wielce uczonych mężów, do śpiewania w kościele, jak to w Wittenberdze po części już jest we zwyczaju". Zawiera osiem pieśni, choć skromny to początek, lecz jednak początek. Dołożyłem więc wszelkich starań, ażeby pod tym względem lepiej się u nas działo i więcej pieśni powstało. A teraz spójrzcie na to, oto nowy śpiewnik ułożyłem, zawiera on trzydzieści dwie pieśni, z nich większa część mego własnego układu. Ta książeczka nie ma

nimi czasy słyszeliśmy o zredagowaniu małżeńskiego prawa majątkowego z działu praw osobisto-rzeczowych powszechnego kodeksu cywilnego. Pozatem nic; w 19 roku niepodległości rządzimy się w tej dziedzinie ustawami zaborczymi i jakoś nikogo to nie boli, nikogo nie upokarza. A już najmniej tych, którzy się tak gorliwie ujmowali za urojoną krzywdą Kościoła.

To sprzysiężenie milczenia przerwał obecnie prof. dr. Henryk Ułaszyn na łamach kwartalnika, poświęconego zagadnieniom reformy seksualnej i obyczajowej: „Życie Świadome" (nr. 3 z br.). Zabiera on głos jako humanista i obywatel-patriota, pragnący się przyczynić do takiego rozwiązania wspomnianego problemu kodyfikacji, aby Państwo polskie nie stało na szarym końcu wśród państw kulturalnych Europy. Naświetla problem od strony kulturalnej, cywilizacyjnej i przejrzyście przedstawia stan prawa małżeńskiego u nas w porównaniu z pozostałymi państwami Europy.

Terytorium historyczno-kulturalne naszego kontynentu dzieli się na dwa światy: zachodni i wschodni, z linią podziału biegnącą przez Polskę z północy na południe. Świat zachodni charakteryzuje, jak wskazuje prof. Ułaszyn, stopniowe wyzwolenie się z więzów tradycjonalnego światopoglądu wyznaniowego, skonstruowanego w średniowieczu, tj. uświecczanie życia kulturalnego, a przeto i jego uduchawianie przez rozsadzanie ram wyznaniowych, formułek dogmatycznych. Świat natomiast wschodni cechuje wprost przeciwnie, uparte trzymanie się więzów tradycjonalnych, bizantyjskich, koncentracja życia duchowego w ramach wyznaniowych, dogmatycznych, zastój kulturalny i ograniczenie postępu do sfery cywilizacji materialnej.

Jest to niesłychanie ważne wobec faktu, że katolicyzm wszędzie reklamuje się naiwnie jako bastion zachodnio-europejskiej kultury łacińsko-humanistycznej w przeciwieństwie do barbarii Wschodu. Tymczasem w jednym państwie, gdzie Rzym ma jeszcze decydujące wpływy na moralność i wiarę narodu, tj. właśnie w Polsce, upór sfer katolickich trzyma kraj pod względem prawa małżeńskiego w orbicie kultury wschodnio-europejskiej, bizantyjskiej, nawet przez Grecję już przezwyciężonej.

Prof. Ułaszyn udowadnia szczegółowo, że na 27 państw europejskich, trzy zaledwie państwa charakteryzuje integralnie kościelny typ prawa małżeńskiego: Bułgarię w całości, oraz Jugosławię i Polskę w przeważającej większości. Są to wyłącznie państwa słowiańskie. Typ integralnie kościelny prawa małżeńskiego (jedynie śluby religijne ważne) nie istnieje w żadnym państwie niesłowiańskim. Przetrwał tylko na prawosławnym Bałkanie i w katolickiej Polsce!

Typ integralnie cywilny posiada dziś 5 państw katolickich w Europie, 2 państwa ewangelickie i 4 państwa ewangelicko katolickie; razem 11 państw typu kulturalnego zachodnio-europejskiego uznaje wyłącznie obowiązkowe śluby cywilne (nadto 2 państwa wschodnie, z kręgu cywilizacji bizantyjskiej też się do tej grupy przyłączyły).

Typ fakultatywny: ślub religijny, lub cywilny do wyboru istnieje w 6 państwach ewangelickich, w 1 mieszanym wyznaniowo i w 2 katolickich. Autor podkreśla, że typ ów charakteryzuje państwa o ludności ewangelickiej i świadczy dobitnie o tolerancyjności protestantyzmu, o jego wysokich walorach społeczno-wychowawczych. I dodajmy: zaufanie do obywatela.

Typ czysto kościelny reprezentuje 1 państwo prawosławne; typ mieszany 1 państwo prawosławne i 1 katolickie. Z państw o kulturze zachodnio-europejskiej ledwie jedna Austria zachowała obowiązkowe śluby religijne, jednak z świeckim sądownictwem w sporach małżeńskich. Najbardziej zacofanym w tej dziedzinie państwem zachodnio-europejskim jest niestety Polska.

Prof. Ułaszyn stwierdza z naciskiem, że nawet w faszystowskich Włoszech (i to po paktach laterańskich!) wprowadzono zrównanie ślubów kościelnych z cywilnymi, że każdy ślub kościelny musi tam być zameldowany w ciągu 5 dni przez duchownego urzędowi stanu cywilnego pod rygorem nieważności zawartego związku. Oczywiście metrykę wydaje świecki urzędnik, a całe sądownictwo w tych sprawach jest państwowe. I tego rodzaju formę ustroju małżeńskiego zalecił Pius XI w encyklice: „O małżeństwie chrześcijańskim" (1930), postawił niejako za wzór.

---

służyć wyłącznie do nabożeństw w kościele, lecz przeznaczona jest także dla szkół. Najusilniejsze bowiem starania moje zmierzają ku temu, ażeby podnieść poziom naukowy już istniejących szkół, a wszędzie gdzie ich niema takowe zakładać. W tym też celu wydałem książeczkę do burmistrzów i radnych licznych miast w kraju, ażeby zakładali szkoły chrześcijańskie, jak tego tutaj w Wittenberdze już Bugenhagen dokonał, który przywrócił znów do należytego stanu szkołę męską doprowadzoną do upadku na skutek nierozsądnego poczynania Karlstadta. Nic nie jest tak ważnem jak wychowanie młodzieży, nic bardziej nie naraża Ewangelję na niebezpieczeństwo, niż zaniechanie pouczania dziatek. Ponieważ więc przy układaniu tego śpiewnika główną uwagę moją zwracałem na szkoły, przeto do słów dorabiałem zaraz melodję, ażeby w ten sposób pieśni te mogły być śpiewane. Niektóre z nich są nutą ludową, oddawna śpiewaną, niektóre zaś sam ułożyłem. Was zatem, wielce ceniony mistrzu upraszam, ażebyście takowe pilnie przejrzeli czy nie zawierają jakich usterek, i czy są zdatne do świątobliwego użytku".

Pan Jan Walter przejrzał książeczkę podnosząc od czasu do czasu wzrok swój pełen podziwu na Doktora Marcina, aż wreszcie opuścił rękę w której trzymał książkę i rzekł: „Ależ czcigodny panie Doktorze, kto Was tego nauczył, wszystko to tak po mistrzowsku na cztery głosy rozpisane, że ani jednego uchybienia nie można się dopatrzeć?"

Luter wybuchnął wesołym śmiechem: „Poeta Wirgiliusz mnie tego nauczył, który swe pieśni i słowa tak kunsztownie umie dostosować do dziejów które opisuje. Podobnie i pani muzyka powinna swe dźwięki i nuty odpowiednio do treści słów przystosować".

„Ale kto Was nauczył prawideł i reguł sztuki kompozytorskiej?" pytał Walter dalej.

„A nikt" odrzekł Luter. „Maczam pióro w kałamarzu i piszę, a nie wiem czy będzie dobrze czy źle".

Z pełnem szacunku uwielbieniem spojrzał Walter na tego człowieka, na którego Bóg tak rozrzutnie wylał swe dary duchowe. „Podziwiam Was, panie Doktorze. Co inni z wielkim trudem i mozołem dopiero uczyć się muszą, to Wy już umiecie sami z siebie „gdyż Wam jest wrodzone".

Luter zdawał się słów tych nie dosłyszeć: przewracał w tym czasie w porozrzucanych na stole papierach, i wydobył z nich nowe utwory nutowe: także do Epistołów i Ewangelji, do słów Ustanowienia i przetłomaczonego przez siebie Sanctus mszalnego dorobił muzykę. Zaśpiewał to wszystko swym dźwięcznym głosem przed torgawskim mistrzem śpiewu, poczem już przystąpili wspólnie do skrupulatnego przejrzenia całości.

Śpiewniczek ukazał się wkrótce w druku a kaznodzieja Bugenhagen był pierwszym, do którego Luter z nim się zwrócił. „Tu najmilszy, przynoszę Wam gościńca dla waszych dziateczek. Niech nie żałują usteczek swych, i pieśni te raźnie śpiewają, ażeby starzy od młodszych się uczyli"

I Bugenhagen przekonał się w krótkim czasie, że Luter i w tem obrał właściwą drogę, gdyż dzieci śpiewały te pieśni z prawdziwą uciechą i wkrótce już wszystkie umiały na pamięć zarówno słowa jak i melodje, a starzy śpiewali za młodymi, że aż miło było słuchać.

A więc — konstatuje autor — nie z Watykanu płynie u nas opór przeciw wprowadzeniu na tapet obrad parlamentarnych projektu komisji kodyfikacyjnej. Nie za watykańską inspiracją skręcono temu projektowi kark. Przeważyły tu czynniki krajowe i to z motywów grubo utylitarnych, nic wspólnego ani z prawdą, ani z ideą nie mających.

Należy się rzetelna wdzięczność poznańskiemu uczonemu, że śmiało, a rzeczowo tę całą przykrą sprawę poruszył. Dobrze też, że raz jeszcze przypomniał, jak się późno uczyniło w zachodnim chrześcijaństwie małżeństwo sakramentem. Przecież w pierwszych 10 wiekach chrześcijaństwa obrządek, identyfikowany dziś z tym sakramentem, nie był wcale uważany za sakrament. Było to jedynie błogosławieństwo nupturientów, należące do ustanowionych przez Kościół sakramentaliów (takich, jak święcenie wody, kredy, popiołu, świec i tym podobnych rzeczy lub przedmiotów, przeznaczonych dla „pobożnego użytku").

Dopiero w XI wieku błogosławieństwo to staje się obowiązującym. W XII wieku zaczęto małżeństwo nazywać sakramentem, co ostatecznie zatwierdził 1563 r. sobór trydencki, wbrew reformatorom, którzy zgodnie z Pismem i starą tradycją traktowali małżeństwo jako instytucję naturalną i świecką, podlegającą całkowicie jurysdykcji państwa. Sobór natomiast rzucił klątwę na wszystkich, odbierających sprawy małżeńskie sędziom kościelnym. I do dziś katolik, omijający sądy konsystorskie i udający się do sądu państwowego, grzeszy ciężko.

Chcielibyśmy tu jeszcze podnieść jedną okoliczność. Wedle dogmatyki katolickiej, materią i formą sakramentu małżeństwa jest wzajemne prawo dla ciała, dane sobie przez parę narzeczonych, którzy są zarazem szafarzami i podmiotami sakramentu. Nietylko zatem ślub cywilny zapewnia każdej parze spełnienie tych warunków, które od partnerów jedynie zależą, ale i w t. zw. wolnej miłości zachodzi identyczna sytuacja. Do takich świętokradzkich wniosków prowadzi scholastyczna sofisteria, mieszająca na wzór pogański religię z seksualizmem i nadająca każdemu trwalszemu związkowi płciowemu piętno sakralne.

Wacław Granzow.

Sztuka za Stanisława Augusta

II.

Mając na pieczy i dbając o rozwój sztuki polskiej, król wielu młodych artystów wysyłał na studia zagracę. Dla urządzenia zaś wnętrz zamkowych i do budowy Łazienek zawezwał całą plejadę obcych mistrzów z malarzem Bacciarellim i architektem Merlinim na czele. Długi szereg współpracujących z nimi artystów plastyków wypełnia sobą nie kilkanaście, lecz kilkadziesiąt nazwisk. Całą tą armją król dowodził osobiście i był jej duchowym kierownikiem, gdyż on jeden posiadał w głowie plan całości, dawał wskazówki, poddawał pomysły, własnoręcznie korygował plany; był więc Stanisław August poniekąd współtwórcą całych Łazienek oraz wnętrz zamkowych. Żaden szczegół nie mógł być urzeczywistniony bez aprobaty króla. Żadna dekoracja, żadna rzeźba — ba, nawet sprzęt żaden w postaci choćby świecznika lub klamki bronzowej nie przedostał się w podwoje królewskie bez zgody ich włodarza. Posiadał przytem Stanisław August fascynującą moc zjednywania i pociągania artystów swoją osobą. Stosunek króla do dzieci Apollina był iście ojcowski, a rządy nad całą tą bracią sprawował niezwykle łagodnie i serdecznie. Górował nad nią wprawdzie nie umiejętnością techniczną, lecz subtelnym smakiem i inicjatywą. Pod batutą króla cały zespół działał harmonijnie i sprawnie, jak dobrze zgrana orkiestra. Każdy z jej członków miał wyznaczony przez króla ścisły zakres swego działania i dlatego organizacja pracy w tym wielkim warsztacie artystycznym święciła wielkie tryumfy.

Zamek i Łazienki były pomyślane jako zbiorowe dzieło sztuki, w którem nie mógł górować żaden z poszczególnych jej działów. To też całe dzieło króla owionęła sobą znakomita harmonia, zaś styl epoki Stanisława Augusta nie zna nic piękniejszego ponad reprezentacyjną salę Rycerską i kolumnową na zamku z ich monumentalną dekoracją i po nad salę balową, rotundę, a nadewszystko salę Salomona w Łazienkach, gdzie wszystkie rodzaje sztuki plastycznej w zgodnym chórze podały sobie swe bratnie dłonie.

Dwór Stanisława Augusta był ostatnim dworem artystycznym w Europie i zarazem ostatnim odblaskiem dawnych renesansowych stosunków w sztuce. Ze śmiercią króla w roku 1798 zeszła jednocześnie do grobu i sztuka dworska.

Zpośród artystów doby stanisławowskiej niewielu było Polaków. Zasłynął śród nich Franciszek Smuglewicz swemi obrazami o treści religijnej lub zaczerpniętej z dziejów starożytnych; potem znakomity portrecista-stypendysta króla — Aleksander Kucharski, którego jednak pochłonął w końcu Paryż; wreszcie miniaturzysta Kosiński oraz utalentowany rzeźbiarz gemm i kamei — Jan Regulski. Śród architektów najlepszym był Gucewicz, twórca fasady katedry wileńskiej.

Na czele zagranicznej ekipy artystów przewodził znakomity malarz historyczny i doskonały portrecista — Marceli Bacciarelli, Włoch. Był on zaufanym doradcą króla i naczelnym wykonawcą jego woli w rzeczach artystycznych. Bacciarellemu zawdzięczamy cały szereg portretów króla Stanisława oraz najpiękniejsze płótna, zdobiące ściany i plafony sal zamkowych i Łazienek. Drugim malarzem na służbie królewskiej był wenecjanin Canaletto — mistrz perspektywy, twórca przepięknych widoków Warszawy, które dziś zdobią sobą jedną z sal zamkowych jego imienia. Następnie idą Plerach — twórca niektórych dekoracji malarskich na Zamku oraz w Łazienkach, dalej Zygmunt Vogel — rysownik pejzaży architektonicznych, dwaj portreciści Lampi i Grassi oraz znakomity rysownik, wielki realista — Jan Norblin — francuz, sprowadzony do Polski przez Czartoryskich. Zdobił on swemi płótnami pałac w Puławach i Powązki Czartoryskich oraz słynną Arkadię Radziwiłłów ale głównie zasłynął swemi realistycznemi rysunkami, utrwalającymi stroje i obyczaje ówczesne oraz takie wiekopomne wydarzenia, jak np. uchwalenie konstytucji majowej lub inzurekcji kościuszkowskiej. Pracami tymi założył on podwaliny sztuki narodowej, słusznie będąc dziś nazywamy ojcem malarstwa polskiego.

Śród rzeźbiarzy, wprzęgniętych w służbę króla, pierwsze miejsce zajmował francuz Le Brun, twórca wielkich marmurowych posągów mitologicznych i alegorycznych oraz popiersi z bronzu znakomitych Polaków. Prócz Le Bruna Zamek i Łazienki zdobili jeszcze swemi rzeźbami Monaldi i Righi oraz Fr. Pinck, który jednocześnie jest wykonawcą konnego pomnika króla Sobieskiego.

Wiadomości z kościoła i ze świata

CIESZYN. (Zjazd księży prefektów). Zapowiedziany zjazd ewangelickich księży prefektow odbył się tu we środę 9 b. m. Wzięło w nim udział 13 księży prefektów (6 z cieszyńskiej, 5 z katowickiej, 2 z czechosłowackiej części Śląska), 3 księży proboszczów i 5 wikarjuszy senjoratu cieszyńskiego, pracujących w szkole.

Było też obecnych na lekcjach szkolnych, które stanowiły główną część zjazdu, 4 nauczycieli świeckich, 1 kandydat teologi, 1 nauczycielka i zajmujący się specjalnie psychologią religii referent Wydziału Oświecenia Publicznego z Katowic, p. Dr. Stanisław Kubisz; przysłuchiwali się nadto lekcji w gimnazjum obaj pp. dyrektorowie gimnazjów cieszyńskich.

W gimnazjum (I kl.) przedmiotem lekcji w części przypadającej na powtórkę był: grzech; w części przypadającej na materjał nowy — ofiara. W szkole powszechnej przedmiotem całej lekcji było święcenie dnia świątecznego (3 przykazani). Po lekcjach przeprowadzono wyskusję nad ich tokiem, metodą i treścią.

Do południa obradowano nad wydaniem podręcznika do nauki religii ew. w wyższych klasach szkół powszechnych. Wybrano w tym celu komisję, której przewodnictwo objąć ma ks. prof. Sikora, a wchodzą w jej skład także ks Józef Szeruda i ks. Kubaczka.

W związku z nową ustawą kościelną poruszono też sprawę ordynacji przyszłych ewang. prefektów i wybrano specjalną delegację, która ma się udać do NPW. Ks. Biskupa i domagać się uregulowania tej sprawy w myśl jednogłośnej, opartej na bezpośrednim doświadczeniu, opinii wszystkich zebranych.

Przewodniczył na wyżej wymienionej konferencji wybrany przez aklamację ks senjor J. Tytz z Sosnowca, a w skład delegacji Śląska do Ks. Biskupa weszli: ks. senjor J. Tytz z Sosnowca i ks. prof. A. Buzek z Cieszyna. Zaś od Okręgu Warszawskiego delegatem w powyższej sprawie do Ks. Biskupa był ks. prefekt O. Krenz.

Na mocy Ustawy, która obowiązywać będzie od dnia 27.XII.1936 r. prawo głosowania przy wyborach do władz kościelnych będą mieli wszyscy mężczyźni i kobiety, którzy opłacili składkę kościelną za rok ostatni. Wobec powyższego Kolegium Kościelne wzywa wszystkich członków Zboru bez różnicy płci, którzy ukończyli 24 lata, aby do końca roku bieżącego wpłacili składkę kościelną, jeżeli w przyszłym roku chcą korzystać z praw, jakie nadaje im nowa Ustawa kościelna.

Ponieważ kobiety w r. 1936 z praw członków nie korzystały, pragnąc umożliwić najszerszym warstwom wykorzystanie nadanych praw, składkę kościelną za ten rok kobiety w drodze wyjątku mogą płacić wedle możności z ulgowym terminem wpłacania do dnia 15 stycznia 1937 r.

Składki kościelne wpłacać można w kancelarii kościelnej w dni powszednie od godz. 9 — 5 pp., w niedziele od 11 — 1 pp.; przez P. K. O. numer 6252 lub na ręce upoważnionych inkasentów, których na żądanie telefoniczne N. 608-26 wysyłamy pod wskazany adres.

Prezes
(—) L. J. Evert -- Senator.

Sekretarz
(—) R. Goller.

Z Tow. Pol. Młodz. Ewang.

Dnia 31 grudnia b. r. odbędzie się tradycyjny

Wieczór Sylwestrowy

Każdy grosz złożony na konto PKO. Nr. 70200 przyniesie ulgę bezrobotnym!

Wiadomości statystyczne urzędu parafialnego

Ochrzczono: 1 dziewczynkę, 1 chłopca i 3 neofitki.

Zmarli: Florentyna, Wiktora Bachmann ur. Zink l. 68; Emma, Karolina Lange l. 68; Ida, Laura Meile z d. Lipke l. 62; Ryszard Rzyńca 1 gdz.; Joanna, Henrietta Angelus l. 37; Amelia, Joanna Späth l. 90; Józef, Ryszard Ritter l. 49; Andrzej Bernel l. 57; Wanda Scholl z d. Lutz l. 37; Wanda, Danuta Wójcik l. 16; Joanna Lamprecht l. 81.

Porządek nabożeństw.

w kościele parafialnym przy ul. Królewskiej.

Dnia 27 grudnia Niedziela po Św. Narodz. Pańskiego.

godz. 9 rano nabożeństwo w kaplicy szpitalnej Ks. diakon Ruger.
„ 11.30 „ „ w kościele główne (Łuk. 2, 25 — 32, Ps. 103, 1 — 18. Ks. diakon Ruger.
„ 10.30 „ „ w Tworkach.
„ 10.30 „ „ w Tabicie w Skolimowie Ks. Michelis.
„ 10.30 „ „ w świetlicy (Grochowska 73) Jadwiszczok.
„ 6.30 wiecz. „ w świetlicy (Żytnia 36) ew. Burchardt.

Dnia 31 grudnia Wieczór Sylwestrowy.

godz. 5 wiecz. nabożeństwo w kośc. niemiec. (Ps. 90) Ks. Michelis.
„ 6.30 „ „ w kościele główne (Ps. 90) Ks. p. Loth.
„ 6.— „ „ w Pruszkowie Ks. diakon Ruger.
„ 10.30 „ „ w sali konfirm. Ks. p. Michelis i ks. Krenz.

Dnia 1 stycznia 1937 roku Nowy Rok.

godz. 9 rano nabożeństwo w kaplicy szpitalnej Ks. pastor Loth.
„ 9.30 „ „ w kościele niemiec. (Ps. 121. Mat. 28. 30 Ks. diakon Ruger.
„ 11.30 „ „ w kościele główne (Ps. 121. Mat. 28. 30. Ks. pastor Michelis.
„ 10.30 „ „ w Tabicie w Skolimowie Ks. w. Wittmeyer.
„ 10.30 „ „ w świetl. (Grochowska 73) Ks Hławiczka
„ 11.30 „ „ we Włochach Ks. pref. Krenz.

W Ewang. Kościele Garnizonowym

(Puławska 4)

Dnia 27 grudnia 1936 r. o godz. 10-ej nabożeństwo Niedzielne. Ks. Stoy.
„ 31 „ „ „ 17.30 nabożeństwo Sylwestrowe. Ks. Sen. Gloeh.
„ 1 stycznia 1937 r. „ 10-ej nabożeństwo Noworoczne. Ks. Sen. Gloeh.
„ 3 „ „ „ 10-ej nabożeństwo. Ks. Stoy.
„ 6 „ „ „ 10-ej Święto Epifanii.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie.

od dnia 27.XI. do 2.XII. 36 r.

Niedziela dn 27. XII. 1936 r. 8.00 Audycja 9.00 Transmisja 10.30 Kolędy kaszubskie i kujawskie 12.03 Koncert 14.15 Monolog 14.30 Koncert rozrywkowy 15.30 „Audycja dla wsi" 16.30 Słuchowisko 17.00 Koncert symfoniczny 19.00 Szkic literacki 19.20 Muzyka 21.00 Audycja muzyczna 21.45 „Na wesołej lwowskiej fali" 22.15 Muzyka taneczna.

Poniedziałek. dn. 28. XII 1936 r. 12.03 Koncert 12.50 Pogadanka 15.15 Płyty 15.55 „Wszystkiego po trochu" 16.15 Odczyt 16.30 Koncert 17.00 Reportaż 17.15 Koncert solistów 17.50 Pogadanka 19.00 Audycja strzelecka 19.30 „Mozaika muzyczna" 20. 5 Płyty 21.00 Wieczór literacki 21.30 Koncert Orkiestry 22.00 Koncert symfoniczny 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek dn. 29. XII. 1936 r. 12.03 Koncert rozrywkowy 15.15 Koncert muzyki lekkiej 16.30 Orkiestra 17.10 „Dni powszednie państwa Kowalskich" 17.25 V Audycja 17.50 Monolog 19.00 „Dyskutujmy" 19.20 Koncert 20.15 Opera 22.25 Szkic literacki 22.40 Muzyka taneczna.

Sroda dn. 30 .XII. 1936 r. 12.03 Koncert 15.15 Płyty 16.25 Koncert Orkiestry 17.00 Odczyt 17.15 Koncert solistów 17.50 Felieton 19.20 Koncert 20.00 Koncert 21.00 Koncert chopinowski 21.30 Koncert kameralny 22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek dn. 31. XII. 1936 r. 12.03 Bajki w muzyce 15.15 16.20 Audycja dla dzieci 16.35 Płyty 17.15 Muzyka dwufortepianowa 19.00 Operetka 20.30 Pogadanka 21.00 Koncert sylwestrowy 22.00 Audycja 23.30 „Sylwester na Kasprowym Wierch" 0. 3 Do słuchaczów za granicą 0.12 Muzyka taneczna.

Piątek dn. 1.I. 1937 r. 8.00 Audycja poranna 12.03 Koncert 14.30 Audycja dla dzieci 15.00 Gawęda 16.30 Premiera słuchowiska 17.00 Muzyka taneczna 17.30 Koncert 18,10 Płyty 19.00 Orkiestra 19.35 Koncert 21.05 Audycja muzyczna 22.05 Humoreska 22. 5 Muzyka taneczna.

Sobota dn. 2.I. 1937 r 1·.03 Kwartet salonowy 14.30 Audycja dla dzieci 15.15 Koncert rozrywkowy 16.15 Koncert Orkiestry 19.00 „Audycja dla Polaków zagranicą" 19.30 Koncert 21.00 Muzyka taneczna 22.00 Wesołe słuchowisko 22.30 Muzyka taneczna·

Stancja dla uczniów Janota ma wolne miejsca. Doświadczoną opiekę nad wychowaniem, naukę, dobre odżywianie. Poważne referencje.
Widok 6 m. 7.

Przyjaciel domu

Kalendarz dla Ewangelików
na rok zwyczajny 1937. Rok 38.

Nakładem księgarni
W. MIETKEGO
— Warszawa, ul. Wspólna 10. —
Cena 1 zł. z przesyłką 1 zł. 30 gr.

Prenumerata „Głosu Ewangelickiego" wynosi: kwartalnie 3 zł, miesięcznie 1 zł. Wpłacać można w administracji. — Na ręce ks. seniora Plebanja przy Ewang. Kościele Garnizonowym Puławska 4. Adres dla czasopism zamiennych i listów do redakcji: Puławska 4. tel. 8.90-15.

Redaktor i Wydawca: **Ks. senior FELIKS GLOEH**

Drukarnia „Głosu Ewangelickiego". Warszawa, Puławska 4. tel. 8. 90-15.